

Paweł Głowacki – „Kilka linijek życia”

Polskie Radio Dwójka, 15 grudnia 2017

link: <https://www.polskieradio.pl/8/2576/Artykul/1959264,Kilka-linijek-zycia>

Cztery razy znika wszystko niczym mydlana bańka, tylko ciszej, mniej bombastycznie. Jak gdyby nigdy nic. Spokojnie rozplývają się kształty i kolory, słowa idą spać, mętnieją twarze nieodwracalnie.

Zresztą i to by można rzec: co z tych ludzi, którzy obecnie zaliczają się do żywych? Co to za ludzie? Muchy, a nie ludzie.

Mikołaj Gogol „Martwe dusze”

Jakieś miejsce. Nijakie, więc może być wszędzie. I ludzie, którzy w każdym miejscu istnieją tak, jakby ich w ogóle nie było. Liczny to gatunek, pospolity. Są tak, jakby ich nie było, lecz gdy ktoś ich zobaczy, usłyszy, przypadkiem lub celowo, i tylko przez tę właśnie chwilę, kiedy trwa cudze patrzenie, słuchanie - są tak, jakby byli. Przypomina to wyskakiwanie z cudzych zmysłów? Cokolwiek tak. A potem, kiedy zamyka się znużone obce oko, kiedy obce ucho głuchnie znużone - na powrót ich nie ma i nie ma, choć przecież każdy, gdzieś tam w sobie, dla siebie, jest i jest. Aż do kolejnego spojrzenia obcego, kolejnego obcego słuchania. Wtedy znów przez chwilę są tak, że są mocno, namacalnie. A kiedy mija chwila - znów ich nie ma, choć przecież każdy, gdzieś tam w sobie, dla siebie, bezszelestnie, cieniście, bez śladu - lecz jednak jest. Aż do kolejnego... I dalej, do następnego... I jeszcze...

Ludzie, którzy istnieją, jakby nie istnieli - zaczynają być, jeśli ktoś ich zobaczy, usłyszy. Albo jeśli ktoś ich wymyśli, obdaruje ich ruchem i da słowa. Albo - albo. Po prawdzie - jaka to różnica? Niewielka, bez większego znaczenia. W krakowskim Teatrze Barakah tacy ludzie zjawiają się cztery razy, za każdym - na mniej więcej trzydzieści minut. W sumie - są dwie godziny. Tyle trwa seans „Jednoaktówki”, który Józef Opalski ułożył z czterech małych opowiadań scenicznych Janusza Głowackiego. Przez ten czas pięcioro szarych zjawia się w różnych wcieleniach człekokształtnej szarości. Patrzy się na nich, słucha się ich - więc są.

W żadnej z opowiadań nie ma nazwisk, są jedynie imiona (a czasem nawet i tego brak), pospolite imiona, dobre dla każdego, w każdym miejscu. Choćby tutaj. Na scenie, w pokoju, gdzie tylko tapczan, podobny do wszystkich tapczanów świata, niski stolik jak każdy niski stolik, i kilka zmieniających się rekwizytów - rzeczy, co nie zostawiają śladów w żadnej pamięci. Z materii bez właściwości scenograf Monika Kufel ulepiła miejsce bez właściwości, smaczną prawie pustkę, która może być każdym miejscem. I jest. W jednoaktówce „Spacer przed snem” - nocnym barem, gdzie nie uda się ciepło między Mężczyzną (Sebastian Oberc) i Kobiętą (Aleksandra Konior). W „Konfrontacji” - pokojem w mieszkaniu szarym, pokojem, w którym Andrzej (Marcel Wiercichowski), Ewa (Katarzyna Chlebny), Jan (Bartłomiej Kwiatkowski), Elka (Aleksandra Konior) i Rysiek (Sebastian Oberc) odstawia przed sobą prowincjonalną, biedną operetkę zazdrości i zdrady. W „Choince strachu” - bodaj pracownią rzeźbiarską, gdzie Kobieta (Katarzyna Chlebny) spróbuje mieszkanką lodowatego szyderstwa i bezradnej, skulonej czułości wykrzesać z amebowatego Mężczyzny (Bartłomiej Kwiatkowski), który jest jej mężem, choć gram godności. Wreszcie w „Kąciku mieszkaniowym” - jednym z pomieszczeń nowojorskiego apartamentu, remontowanego przez emigrantów znad Wisły, Witka (Sebastian Oberc) i Olka (Marcel

Wiercichowski). To tutaj, w środku bałaganu, na foliach, obok puszek farby – Olo i Witek, dwie „rzepy” polskie, w trakcie obiadowej przerwy, przy wsparciu niezawodnej flaszki gorzały czystej i równie mocno wiernego pęta kielbasy praśnej, odbędą fantastycznie farsową dysputę o najistotniejszych bolączkach świata oraz ludzkości. Na przykład o tym, czy prawdziwa kobiecość może się odradzać...

„Olek: Jak myślisz, czy kobiecie mogą odrosnąć nagle włosy?

Witek: W jakim sensie?

Olek: W sensie na głowie.

Witek: Nie słyszałem.

Olek: Ja też... A jak się kobieta zakocha?

Witek: To co?

Olek: To włosy nie odrastają?

Witek: Nic nie słyszałem.

Olek: Ja też”.

A o czym mówili inni ludzie, w zupełnie innej, choć mentalnie podobnej epoce kontemplując bryczkę na resorach? Ci dwaj chłopcy ruscy, różni od Witka i Olka, lecz nie za bardzo różni, w innym, lecz nie za bardzo innym miejscu – o czym dyskutowali, gdy ktoś obcy na nich patrzył, słuchał ich? I co stało się z nimi, gdy zamilkli?

„Widzisz – powiedział jeden do drugiego – o, jakie koło! Jak myślisz: dojechałoby to koło, jakby było potrzeba, do Moskwy, czyby nie dojechało? Dojechałoby – odpowiada drugi. A do Kazania, to myślę, że nie dojechałoby? Do Kazania nie dojechałoby – odpowiedział drugi”.

Tu zakończyli dysputę i – znikli. Kamfora. Nie zjawili się po raz drugi w „Martwych duszach” Mikołaja Gogola. Na pierwszej stronie powieści istnieli przez niecałe dziesięć linijek, po czym na kolejnych prawie 290 stronach - nikt ani razu na nich nie patrzy, ani przez chwilę ich nie słucha. Lecz są przecież, jakoś są. Każdy chłopiec gdzieś tam w sobie, dla siebie, bezszelestnie, cieniście, bez śladu. Niczym Witek i Olek, kiedy w finale niknie już światło, cichną słowa. I jak inni w finałach trzech pozostałych jednoaktówek, gdy mrą zdania i ciemnieje blask. I to są w przedstawieniu Opalskiego chwile dotkliwe - bez przesady, lecz jednak dotkliwe - kiedy śmiech naraz odpływa z widowni, a na scenie najlichszego śladu nie ma po nikim, po niczym. Jakby nigdy nikogo tam nie było i nigdy nic się nie stało. Jakby tam nie było tego, co było, bo nikt nie patrzył, nie słuchał. To są chwile gorzkie – bez przesady, lecz jednak gorzkawe.

Cztery jednoaktówki, małe portrety małych istot, trochę piszczących, trochę szepczących, trochę czułych, trochę cynicznych, do imentu utopionych w swych bezimiennych, mysich tragedijkach. Cztery kropki wydłubane z planktonu zdarzeń bez znaczących właściwości. Cztery impresje sceniczne na kanwie powszechnej szarości, trochę przypominające pamiętną, taktowną czułość dla wszelkiej szarości codziennej w filmowych opowieści Jima Jarmuscha „Noc na Ziemi”, „Kawa i papierosy”, „Paterson”, albo w „Sekretach i kłamstwach” Mike’a Leigh. O jedynie drobnym podobieństwie mówię, gdyż „Jednoaktówki” w Teatrze Barakah to jednak jest głównie śmiech. I tu aktorom się kłaniam, zwłaszcza Konior, jej zdumiewającej lekkości gestu, głosu, uśmiechu, a także mogącemu zagrać raczej wszystkowi Oberc-Wiercichowski. „Jednoaktówki” to śmiech duży, chwilami frenetyczny, i dość finezyjna groteska, czasem na krawędzi sążnistej farsy spokojnie balansująca. Tak. Tylko że w ostatecznym rachunku zostaje na podniebieniu dziwny smak czterech finałów, smak, w którym jest trochę cytryny i szczypta melancholii.

Cztery razy znika wszystko niczym mydlana bańka, tylko ciszej, mniej bombastycznie. Jak gdyby nigdy nic. Spokojnie rozplývają się kształty i kolory, słowa idą spać, mętnieją twarze nieodwracalnie. I żadnego przytupu! Śladu wiekopomnej kody! Cienia tezy koturnowej! Ot, jedynie zamieranie powolne. Nieważkie znikanie ludzi bez właściwości, trzeciorzędnych, pospolicie przeciętnych. Znikanie jak u Gogola znikanie chłopów, co na mgnienie się zjawili, by o kole bryczki pogadać. Albo jak to pstryknięcie, dmuchnięcie, po którym nie ma już młodzieńca, który zjawił się na scenie powieści tuż po chłopach, aby, jak oni, przystanąć na chwilę i kontemplować bryczkę. Podobnie lekko znikają u Mikołaja Gogola wszystkie chwilowe indywidua - na czele z bezimiennym porucznikiem, który przyjechał z Riazania i pasjami wielbi buty. Wszystkie te człękokształtne łątki, których w „Martwych duszach” jest legion - odchodzą łagodnie. Szare panie i szarzy panowie u Głowackiego i Opalskiego – też. Łagodnie, w ciszy. Odchodzą cicho w ciszy.

Oto środek nocy. W ciemnościach bez końca - jedno jedyne, zewsząd widoczne światło świecy w oknie pokoju bezimiennego porucznika. „Zamówił już sobie cztery pary i bez ustanku przymierzał piętą”, powiada Gogol. „Kilka razy podchodził do łóżka z tym, żeby buty zdjąć i położyć się, ale w żaden sposób nie mógł: buty istotnie były dobrze uszyte; i długo jeszcze porucznik podnosił nogę i oglądał nad podziw świetnie skrojony obcas”.

Po słowie „obcas” – świeczka gaśnie, rozplýwa się chwilowy gość z Riazania, tonie w ciemności pięć par nowych butów. W całym mieście nie słyhać nic, nawet szepczącego chrapania. Vladimir Nabokov powiada: „Nie znam bardziej lirycznego opisu nocnej ciszy niż ta *Rapsodia butów*”. Rankiem zjawia się, nie wiedzieć skąd, najpewniej z czyjegoś oka, z czyjegoś ucha, następni obywatele szarzy i chwilowi. Być może mając nadzieję, że na dłużej. Lecz zjawia się, aby zniknąć łagodnie po ledwie kilku biednych liniijkach życia. Jak zawsze.